

Jestem taka dumna...!

Jestem taka dumna, że moi przodkowie to byli tacy dzielni i odważni ludzie. O tym, że jestem Łemką, wiem od dawna, od urodzenia, odkąd pamiętam. W moim domu rozmawia się w języku łemkowskim i jest to dla mnie całkiem naturalne, jednak dopiero niedawno dowiedziałam się, jak wielka tragedia dotknęła mój naród. Pierwszą osobą, od której usłyszałam tę historię, była moja mama Katarzyna Biszczak, z domu Szyposz. Podobnie duży wkład w poszerzenie wiedzy na temat moich korzeni i pochodzenia mej rodziny miał mój dziadek Jerzy Szyposz, który w naszej rodzinie słynął z pięknych opowieści o dawnych czasach. Niesamowitą, a zarazem przerażającą historię Łemków, opowiedziały im moje dwie, obecnie już niestety nieżyjące prababcie - Olga Tarasiewicz, z domu Merena i Stefania Szyposz, z domu Tarasiewicz. Przeżyły one akcję „Wisła”, bo taką nazwę nosiła ta wielka operacja wygnania moich przodków z ich rodzinnej ziemi, kiedy były dokładnie w takim wieku, w jakim jestem teraz ja - miały wtedy 13 lat.

Może zacznę jednak od początku...

Łemkowie jest to grupa etniczna narodu ukraińskiego, posługująca się dialektem łemkowskim, czyli odmianą języka ukraińskiego. Pierwsze wzmianki o zasiedleniu Karpat przez Łemków pochodzą nawet z XII w., a osadnictwo na tym terenie zakończyło się pod koniec XVI w. Łemkowie, w czasach przed II wojną światową, byli ludnością zajmującą się głównie rolnictwem i pasterstwem. Zamieszkiwali południowe tereny pięciu powiatów podkarpackich: sanockiego, krośnieńskiego, gorlickiego, jasielskiego i nowosądeckiego. Byli to ludzie bardzo skromni, spokojni i ponad wszystko ceniący swoją tradycję i życie we wspólnocie. Prababcia Olga dorastała we wsi Roztoka Wielka, natomiast prababcia Stefania w Nowej Wsi, nieopodal Krynicy Zdroju. Dzieciństwo obu prababć upływało bardzo radośnie, pomimo dużej ilości obowiązków, takich chociażby jak pomoc rodzicom w gospodarstwie. Prababcia Olga z wielkim rozrzewnieniem wspominała, jak chodziła z rówieśnikami wypasać bydło. Bardzo miło zapamiętała również uczęszczanie do szkoły podstawowej.

Łemkowie to niezwykle muzykalny i rozśpiewany naród. Prababcia Stefania opowiadała, jak niemalże codziennie, po pracy sąsiedzi spotykali się w domach i wspólnie śpiewali tradycyjne pieśni i przyśpiewki. Wiele osób grających na instrumentach było tak zwanymi samoukami, ponieważ wiedza o grze na skrzypcach, akordeonie czy kontrabasie była przekazywana z pokolenia na pokolenie.

Prababcie opowiadały także, jakie piękne były ceremonie zaślubin i wesela. Cała uroczystość trwała zazwyczaj dwie doby, jedna u panny młodej, druga u pana młodego, a po weselu odbywały się jeszcze poprawiny. Młodym zawsze towarzyszyły dwie druhny i dwaj druźbowie, dziewczęta były pięknie ubrane w kwieciste spódnice i wyszywane gorsety, a na głowach miały wianki, z których zwisało mnóstwo kolorowych wstążek. Druźbowie na głowy zakładali kapelusze z kolorowymi piórami. Oni też śpiewali wiele różnorodnych przyśpiewek weselnych, a w czasie całej uroczystości asystowali młodej parze oraz gościom. Ważnymi

osobami były także dwie starościny i dwaj starostowie, jednak najważniejszą funkcję pełnił marszałek, który często przemawiał, wznosił toasty, przypijał do młodej pary i przyśpiewywał im. Jego władzę symbolizował proporzec. Istniała też pewna żartobliwa tradycja. Polegała ona na tym, że kiedy pan młody przychodził po pannę młodą do jej domu, zastawał pozamykane drzwi, do których musiał długo pukać. W końcu zza drzwi odzywał się głos: „A kto tam?” „To my, znajomi”- odpowiadano. „A po co tu przyszliście?”- pytano znowu, po czym padała odpowiedź: „W ważnej sprawie!” Taki dialog trwał często dosyć długo, przekomarzano się do momentu, aż w drzwiach pojawiała się postać tak zwanej dziadówki. Tę rolę pełnił najczęściej młody mężczyzna przebrany za kobietę. Kobieta taka miała wielki, wypchany brzuch imitujący ciążę i bardzo chciała przypodobać się panu młodemu. Uśmiechała się do niego i zalecała, ale kiedy jej starania nie przynosiły spodziewanego efektu, żaliła się głośno wobec wszystkich zaśmiewających się do rozpuku gości, że ten oto wiarołomny kawaler obiecał się z nią ożenić. Marszałek wesela w końcu litował się nad młodym i wpuszczał go do domu narzeczonej, jednak na jego polecenie drużbowie musieli jeszcze znaleźć narzeczoną, którą zazwyczaj dobrze ukrywano, gdzieś w zakamarkach domostwa. Był to wesóły obyczaj weselny, będący okazją do swawolnych żartów i śmiechów. I co najważniejsze przetrwał do dziś i na wielu współczesnych weselach łemkowskich wciąż odgrywane są takie zabawne scenki. Kolejną starą i wzruszającą tradycją, o której opowiadała mojej mamie prababcia Olga i którą oglądałam niedawno na weselu mojego wujka, był moment, kiedy podczas tak zwanych oczepin kobiety zamężne sadzają pannę młodą na środku sali i, tańcząc wokół niej, śpiewają piosenkę, opowiadającą o tym, że oto już żegna się ze stanem panińskim, a one witają ją wśród mężatek. Ściągają jej z głowy welon, a następnie zakładają biały czepek, po łemkowsku czepec, i na to piękną, kwiecistą chustę. Śpiewają przy tym starą pieśń:

Oj jakaż Ty Haniu, u Boha szczaslywa,
Że jes swij winoczok, że jes swij winoczok
do hnes donosyła, do hnes donosyła, kraśni jes ho neska.
I swoi rodyni, i swoi rodyni hańby ne prynesła.
Ni hańby ni wstydu, ni jakoj prykrosty.
Teper sia wydajesz, teper sia wydajesz
z welykoj radosty...

Był to wzruszający moment, szczególnie dla rodziców panny młodej, symbolizujący "utrata" swojej ukochanej córki.

Niestety, to spokojne i sielskie życie, jakie wiedli Łemkowie na swojej Łemkowynie niespodziewanie przerwał wybuch drugiej wojny światowej. Z opowiadań prababc dowiedziałam się, że ludzie obawiali się działań wojennych. Często zdarzały się przemarsze różnych wojsk, wtedy mieszkańcy okolicznych wsi

bali się o swoje życie. Dziadek Jerzy, syn prababci Stefanii , opowiedział mi historię wujka Jana Szyposza , który na prośbę swojego ojca, a mojego prapradziadka Piotra Szyposza, pojechał rowerem do lasu, na miejsce, gdzie mieli ścinać drzewo na opał. Prapradziadek Piotr miał tam dojechać końmi za około godzinę i pomóc mu w zwózce drewna. Niestety, kiedy dotarł na miejsce, zastał swojego syna zabitego strzałami z karabinu. Do dziś nie wiadomo, co się stało i kto odpowiada za tę śmierć, po prostu jedna z okropieństw wojny. Dla mojej rodziny był to trudny okres, jednak najgorsze miało dopiero nastąpić....

Jak wspominałam wcześniej, moje prababcie i ich rodziny przeżyły akcję „Wisła”. Mama wytłumaczyła mi, że miała być ona skierowana przeciwko oddziałom partyzanckim UPA - Ukraińskiej Powstańczej Armii, ponieważ sądzono, że ludność zamieszkująca tereny południowo-wschodniej Polski pomagała partyzantom, przekazując im żywność, broń oraz dając schronienie. W rzeczywistości wcale tak nie było, chodziło o zniszczenie kultury tych regionów. W wyniku tej akcji kilkadziesiąt miejscowości przestało istnieć, ponieważ ówczesne władze polskie podjęły decyzję o deportacji ludności ukraińskiej na Ziemię Odzyskane. Akcja „Wisła” rozpoczęła się 28 kwietnia 1947 roku.

Z opowiadań mojej rodziny dowiedziałam się, że najpierw nad wsiami zrzucone były z samolotu ulotki z informacjami o zamiarze przesiedlenia ludności ukraińskiej. Jako powód podawano w nich, że ludność zamieszkująca tereny Polski południowo-wschodniej jest odpowiedzialna za śmierć generała Karola Świerczewskiego. Prababcia wspominała, że ludzie rozmawiali o tym, spotykając się przy cerkwi. Wszyscy mieli jednak nadzieję, że ich to nie dotyczy. Dalej zajmowali się swoimi sprawami, pracowali w gospodarstwach, uprawiali ziemię, opiekowali się zwierzętami i życie toczyło się powoli. Jednak po świętach wielkanocnych kilka osób przyszło do Roztoki z informacjami o transportach ludzi, które przejeżdżały przez okoliczne miejscowości. Mieszkańcy przerazili się. Nie rozumieli tego, że są obwiniani o coś, czego nie zrobili, o śmierć jakiegoś generała czy pomoc UPA. Przecież nie mieli z tym nic wspólnego.

Z opowiadań prababci Olgi, które przekazała mi mama, dowiedziałam się, że o 4 rano do wsi , w której mieszkała prababcia, wkroczyło wojsko. Otoczyło cały teren i żołnierze po kolei wchodzili do domów z informacją, że każda z rodzin ma dwie godziny na spakowanie swojego dobytku i opuszczenie domu. W myślach usiłuję dziś wyobrazić sobie tę sytuację, co ludzie musieli odczuwać w tym momencie, jak ogromne musiało być przerażenie dzieci, jaka bezsilność rodziców! Przecież nie było możliwe, aby w tak krótkim czasie zebrać najpotrzebniejsze rzeczy. Ludzie zostali wyrwani ze snu, a dodatkowym ograniczeniem było to, iż na każdą osobę można było zabrać 25 kg odzieży, naczyń kuchennych i żywności na drogę. Dobytek całego życia musiał się zmieścić na dwóch wozach konnych. Ludziom w transportach pozostała tylko modlitwa, dlatego gorąco modlili się do Boga o opiekę nad nimi.

Po pospiesznym spakowaniu wszystkich potrzebnych rzeczy ludność poszczególnych wsi eskortowano do punktu zbornego. Tam czekali na podstawienie pociągu. Prababcia Stefania wspominała, że jej rodzina w takim

punkcie przebywała 4 dni , natomiast niektórym zdarzało się czekać nawet miesiąc. Po zebraniu odpowiedniej liczby ludności podstawiano pociąg z wagonami towarowymi i w tych strasznych warunkach prababcia wraz z całą rodziną i innymi mieszkańcami wioski odbyła podróż na Ziemię Odzyskaną. Trwała ona aż tydzień, a ich pożywieniem były tylko zapasy, które zabrali z opuszczonego domu. Zwierzęta, bardzo osłabione podróżą, wypuszczano od czasu do czasu na łąki, podczas postoju pociągu, aby mogły się posilić. Zarówno ludzie, jak i zwierzęta pili wodę z rowów. Wygnanie z rodzinnych stron wyjątkowo mocno przeżywała matka mojego pradziadka Jana Tarasiewicza - praprababcia Melania Tarasiewicz, która we wsi Roztoka Wielka była właścicielką pięknego młyna wodnego. Po latach dowiedziała się, że krótko po ich wysiedleniu większość z jej dorobku została rozszabrowana. Na szczęście część budynku młyna zachowała się do dziś. Miałam ostatnio okazję zobaczyć go podczas podróży do Krynicy Zdroju.

Z historii, którą mojej mamie opowiedziała prababcia Olga, dowiedziałam się, że ludzie nie do końca wiedzieli, dokąd jadać i co ich spotka na miejscu. Próbowali pocieszać się nawzajem i w tych trudnych momentach pomagała im muzyka. Podczas tej podróży powstała przepiękna pieśń pod tytułem „Tam w horach Karpatach”, wyrażająca nostalgię Łemków za utraconą ojczyzną, ich tęsknotę za ukochanymi Karpatami i żal za rodzinnym domem. Po czterdziestu siedmiu latach tę pieśń śpiewała moja mama w Zespole Pieśni i Tańca " Kyczera ", a prababcia Olga, słysząc ją, za każdym razem się wzruszała i płakała. Dziś zastanawiam się, czy to wzruszenie było spowodowane wspomnieniami, czy może świadomością, że to już kolejne pokolenie kultywuje pamięć o tym strasznym wydarzeniu?

Po przyjeździe na Ziemię Odzyskaną rozdzielano poszczególne rodziny w taki sposób, aby ludzie spokrewnieni ze sobą osiedlali się jak najdalej od siebie. Praprababcia Olga Tarasiewicz z rodzicami i rodzeństwem została skierowana do miejscowości Lasowice, w gminie Ruja, praprababcia Stefania Szyposz z rodziną trafili do Miłkowic, prapradziadek Jan Tarasiewicz z rodziną osiedlili się w Strzałkowicach, w gminie Ruja, natomiast prapradziadek Andrzej Szyposz z rodziną zamieszkał w Zamienicach, w gminie Chojnów. Rodzinom łemkowskim przydzielane były gospodarstwa zaniedbane, często stał w nich zrujnowany dom, a ludzie, po przybyciu do takiego miejsca, musieli mieszkać w stodołach, piwnicach budynków gospodarczych lub w ziemiankach. Początkowo przydzielonej im ziemi nie mogli uprawiać, ze względu na porę roku, w jakiej przyjechali na obce tereny, więc przywiezione ze sobą bydło wypasali na ugorach. Często też musieli borykać się z niechęcią miejscowej ludności, choć zdarzały się rodziny, które miały wspaniałych sąsiadów Polaków, okazujących im duże wsparcie materialne i duchowe. Praprababcia Olga opowiadała mojej babci Stefanii Szyposz, a swojej córce, o pomocy, jakiej udzielił im sąsiad Feliks Goliszewski, który użyczył paszy dla ich zwierząt. Z biegiem lat ludność łemkowska zaczęła radzić sobie coraz lepiej, powoli przyzwyczajali się do myśli, że zostaną tu, gdzie im nakazano, władza bowiem zabroniła powrotu na ich ojczyste ziemie. Powoli Łemkowie przyzwyczajali się do nowego otoczenia, większość z nich zamieszkała na wsiach i uprawiała ziemię, wiodło im się coraz lepiej.

Pomimo tego, iż osiedlono przybyszów jak najdalej od siebie, starali się oni ze sobą spotykać tak często, jak to tylko było możliwe, a już obowiązkowo przy okazji wesel, świąt, uroczystości rodzinnych bądź innych zabaw. Łemkowie mają duże poczucie życia we wspólnocie, więc myślę, że to właśnie ta cecha spowodowała, że zawsze pragnęli utrzymywać ze sobą kontakty. Łemkowska młodzież do dziś organizuje zabawy taneczne, aby poznawać się nawzajem. Istotną rolę w szerzeniu kultury łemkowskiej oraz integracji młodzieży ma Zespół Pieśni i Tańca „Kyczera”, założony przez pana Jerzego Starzyńskiego. Jak wspomniałam wcześniej, członkinią tego zespołu była moja mama, która obecność w zespole wspomina jako najpiękniejszy okres w swoim życiu, gdyż właśnie wtedy miała okazję lepiej poznać kulturę i tradycję przodków.

Podczas pisania tej opowieści dowiedziałam się wiele o mojej rodzinie oraz o tragicznej historii Łemków. Dziś już wiem i jestem pewna, że ja również będę w swoim życiu kultywować tradycję łemkowską. Dumna jestem, że należę do tego pokolenia i bardzo go cenię, a tu, na Dolnym Śląsku, jest moja ziemia, mój dom.